ROK TRZECI.

№ 35.

Warszawa
Dnia 17 (29) sierpnia
1858.

Niedziela
14ta po Świątkach.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, - z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię Panie! racz ochraniać ustawicznem miłosierdziem Twój kościół, a ponieważ bez Ciebie ludzka śmiertelność na każdym kroku upada, więc Twą pomocą szkodliwe rzeczy oddalaj, a do zbawiennych doprowadzaj. (Kollekta na niedzielę 14tą po Świątkach).

Raj i Niebo.

Kto swe życie dla ludzkości
Całem sercem ofiaruje,
I przystraja w kwiat miłości,
Raj i niebo w sercu czuje.

Kto wśród nieszczęść w wiary słowo
Wątpiącego ugruntuje,
Cnotę szczepi w pierś jałową,
Raj i niebo w sercu czuje.

Kto nagiego przyodzieje,
Tonącego wyratuje,
I roznieci dlań nadzieje,
Raj i niebo w sercu czuje.

Kto nakarmi zgłodniałego,
Upadłego podejmuje,
I napoi pragnącego,
Raj i niebo w sercu czuje.

Kto sierocie da kęs chleba,
Poojcowsku w dom przyjmuje,
I nauczy, co potrzeba,
Raj i niebo w sercu czuje.

Kto z czcią pełni Zbawcy słowa,
I tak żyje, jak on żąda,
Raj i niebo w sercu chowa,
Boga duszą swą oglada.

Powiastki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

XIII.

Słoneczko już się schyliło ku zachodowi. We wsi Malenice stodoły, chałupy włościańskie, wierzby, grusze i topole rzucały długi cień na błonie, w środku którego na stawie pławiąc się gęsi i kaczki, gęganiem i kwakaniem głuszyły rozliczne głosy wiejskich gospodyń, nawołujących dobytek swój do domu. Dziatwa różnego wieku, na bosaki w koszulkach krajką opasanych, igrała, ścigając się pomiędzy drzewami. Ale najwięcej jej zgromadziło się przy karczmie, z której od czasu do czasu dawały się słyszeć dźwięki skrzypiec z wtórem basów, wygrywających skoczne obertasy do tańca. Był to bowiem dzień

świąteczny, a choć na przednowku i stodoły pustkami świeciły, u dobrego jednak gospodarza i pracowitego wyrobnika na szklankę piwa, lub kieliszek wódki zawsze znajdzie się trojak w kieszeni, bo po całotygodniowej pracy zabawa miła, odpoczynek konieczny. Ludowina więc bawił się, przyśpiewywał, przytupywał, dzieciaki podrygały pod oknem, i ile razy jaka para rozmachawszy się zbytecznie, machnęła koziełka, tyle razy reszta dziatwy zaklaskała w ręce i zaśmiała się na całe gardło. Wtem otworzyły się drzwi od karczmy, wyszedł niemi pijany jakiś włościanin i zatoczywszy się, skierował ku dzieciom. Dziatwa, jak spłoszone gołąbki rozbiegła się na wszystkie strony, a pijany przyspieszonym, nienaturalnym krokiem przeszedłszy pomiędzy niemi, zawadził nogą o kamień, stracił równowagę i upadł jak długi na ziemię. Dziatwa zaśmiała się na całe gardło, leżący zaś gramoląc się do powstania, zaczął bełkotać:

— Wicuś, Wincenty, pomóż bracie, pomóż!

— A ty co robisz? zapytał Wincenty, podążając także na niepewnych nogach za swym towarzyszem—czyś się opił, czy co? Wstawaj Wojciechu, wstawaj.

— Zaraz, zaraz... ino podaj rękę...

Wincenty podał rękę, zaczął dźwigać pijanego Wojciecha i kiedy już miał go postawić na nogach, sam stracił równowagę, pochylił się i Wojciech placnął o ziemię, a Wicek przelatując przez niego utknął w dużym krzaku ostu. Ma się rozumieć, że dzieciom w to tylko graj, i jak zobaczyły pijanych rzucających nogami i coś mamroczących pod nosem, zaśmiały się co tylko sił starczyło. Nie długo ciekawych coraz więcej zaczęło przybywać, Wicek z Wojtkiem gramolili się do powstania, ale ani rusz, jakby ich kto przykuł do ziemi. Wreszcie pomiarkowali, że bez pomocy żadnym sposobem nie uda się im dźwignąć, więc Wojtek odezwał się:

— Wicek... Wicek...! a chodź ino do mnie...

— Tak, chodź ino, mruknął Wicek, a kajżeś ty?

— A no, jużcić na ziemi.

— A to odezwijże się; po głosie prędzej do ciebie trafię, bo hady nie wiem, w którą iść stronę.

— Hop! hop! odezwał się Wojtek zupełnie jak w lesie, kiedy się zgubi drogę, chociaż Wicek nie leżał od niego dalej jak o dwa łokcie.

— Jeszcze raz, nadsłuchując, rzekł Wicek, jeszcze raz, bo już coście mi się ochapia.

— Hop! hop! drugi raz powtórzył Wojtek, a gromada patrzących zaśmiała się i poczęła przedrzyźniać pijanych, powtarzając: hop, hop! hop, hop!

— Ej! Wojtek nie pokpiwaj, zawołał Wicek, bo jak cię zamaluję...

— Głupiś Wicku, głupiś... to echo tak za mną powtarza... ot słuchaj...

I to rzekłszy Wojtek, wrzasnął hop! hop! a z gromady znowu kilka głosów powtórzyło, hop, hop!

— A... echo, zaczął mruczeć Wicek, prawda... prawda... ino że my nie w lesie...

— Nie w lesie... a... nie w lesie... to widać jakaś przeszkoda tak z nas pokpiwa...

— A widać co przeszkoda, odrzekł na to Wicek i spoglądając na stojących ludzi, mówił dalej: widzisz, ot! stoją. W imię Ojca i Syna i Ducha...

Gromada patrzących już dłużej wytrzymać nie mogła, huknęła śmiechem dokoła i tak szczerze, tak ochoczo, iż nawet pijani poznali, że to nie żadne duchy, ani przeszkody, ale ludzie jak oni z kośćmi i z ciałem. Jak więc się przecie Wicek z Wojtkiem pomiarkowali, że wyszli na pośmiewisko ludzkie, tak poczęli strasznie się o to gniewać. Więc z językiem wyjechali na ludzi z różnemi przezwiskami; ludzie w śmiech, a oni dalejże jeszcze się bardziej gniewać i do piasku, do kamieni. Ale pijanym i to trudno było, bo zamiast na ludzi, to oni siebie obrzucali, a myśląc, że tak ludzie z nich sobie pokpiwają, zaczęli się z gniewem poruszać po ziemi i pomału zbliżywszy się ku sobie, Wicek kopnął nogą i trafił w Wojtka, który sądząc, że go tak uczęstował któryś z przypatrujących się, zaklął, na czem świat stoi, oddał kopnięcie za uderzenie i potem jak się obadwa nie chwycą, i nie zawołają wielkim głosem:

— Jezus Marya! kto żyje, niech ratuje przez miłość Pana Boga!

Ludziska przyskoczyli do bijących się pijaków, oderwali im ręce, rozdzielili; każdy potem jakieś przekleństwo wymamrotał między zębami.

Kiedy zabawka dla ludzi już skończyła się i pomału poczęto się rozchodzić, spostrzegli, że między nimi znajduje się jakiś obcy człowiek, który oparty na kiju, ze smutnie zwieszoną głową, stał cokolwiek za drugimi. Był to także włościanin, ale nieznany nikomu i już staruszek, bo bielutkie włosy okrywały mu głowę i siwa broda spadała aż na piersi. Otoczono go więc dokoła, jaki taki szepnął do ucha drugiemu, zapytując, co to za jeden, a gdy staruszek nie zważając na nikogo, ciągle wpatrywał się w uśpionych pijaków, przystąpił do niego jeden z gospodarzy i zapytał:

— A zkąd to dziadku Pan Bóg prowadzi, ponoście nietutejsi?

Dziadek spojrzał na mówiącego, otarł łzę, co mu oczy zasłaniała i pozdrowiwszy obecnych Boskiem słowem, tak mówił:

— I obcy jestem i nieobcy moi ludzie, a smutnie poglądam po tych dwóch pijanych, bo oni mi przypomnieli dawne bardzo czasy, które chociaż radbym, aby ptakiem uciekły z głowy i poleciały w świat daleko, jednak je noszę z sobą i dźwigam i męczę się i zdaje mi się, że to wszystko dzisiaj się stało. Moi ludzie, w młodości byłem gospodarzem, miałem żonę, dzieci, dobytek i dorabiając się, pracując, chleba Bogu dzięki nie brakowało i dla siebie i dla starego mego ojca, którego przytuliłem do siebie, bo mu już w starości ciężko było na kawałek chleba pracować. Ale chleb ma rogi, jak mówią starzy ludzie. Pan Bóg w polu zarodził, zboże dobrze płaciło, pomału więc otrząsnąłem się z biedy i uciułało się sporo w domu grosza. Gdybym był rąk nie opuszczał, ale pracował dalej i żył jak Bóg przykazał, byłoby wszystko dobrze, ale z pieniędzmi zaraz przystąpiło do mnie próżniactwo, potem przyszła nieszczęśliwa gorzałka, tak, że bardzo często pijany w nocy powracałem z karczmy do domu. Rodzic mój, świeć Panie nad jego duszą, łajał mnie, gniewał się o takie hultajstwo, żona płakała, ale to nic nie pomagało; oni swoje, ja swoje. Nakoniec mnie te w domu łajania jak dzieciaka jakiego poczęły gniewać; naprzód więc zacząłem odburkiwać się ojcu: na jedno słowo dwa odpowiadałem, potem pogroziłem żonie, a ojcu zacząłem wymawiać chléb, co go jadł u mnie, a wkońcu kiedy raz powróciłem do domu już porządnie napity i żona zaczęła swoim zwyczajem płakać i wydziwiać, od słowa do słowa przyszło do takiej między nami zwady, że chwyciłem żonę za włosy i począłem ją bić niemiłosiernie. Ojciec ujął się za synową, a ja w tej wściekłości odrzuciłem ojca od siebie, świętokradzkie na jego ojcowstwo wyrzekłem bluźnierstwo, i wreszcie jak nie ojca, wypędziłem z chałupy, zakazując, żeby mi się nawet na oczy nie pokazywał.

Przy tych słowach mówiący staruszek zakrył twarz rękoma i załkał głośnym płaczem, że aż zimno przeszło po słuchających, bo nie ma na świecie większego grzechu, nie ma większej zbrodni, za którą Bóg srożej karze, jak nieuszanowanie dla rodziców, a broń Boże podniesienie na nich ręki. Dawniej karano to ucięciem ręki winowajcy, i dobrze robiono, a Bóg zawsze srożej jeszcze karze, niż ludzie. Kiedy się staruszek cokolwiek uspokoił, otarł łzy, co mu spływały po policzkach, i znowu mówił dalej:

— Od tego czasu już na piękne rozpuściłem się w hultajstwie, ojciec poszedł na żebraninę i już go więcej nie widziałem. Gospodarstwo coraz bardziej zaczęło upadać, ze zmartwienia żona się rozchorowała, później dzieci, a ja nie mając nigdzie już dla siebie żadnej przyjemności, z wódką prawie dzień i noc się nie rozstawałem. Ale wszystko kończy się na tym świecie. Było to na początku zimy; całą noc wiatr ze śniegiem tak dął przeraźliwie, że zdało się, iż wszystkie budynki albo zasypie, albo poprzewraca. Ja w nocy jakoś spać nie mogłem, a choć wódki nie żałowałem, równie sen do oczów nie przychodził, bo i dzieci skwirczały i żona coraz stawała się słabszą. Rano jeszcze przededniem, kiedy chciałem wyjść z chałupy, otwierając drzwi, uczułem, że coś im ze dworu zawadza. Szarpnąłem silniej, drzwi puściły, a otwierając je narozcież, zobaczyłem mego ojca w śniegu na znak przewróconego i już nieżywego. Struchlałem, oczy stanęły mi słupem, skóra ścierpła, i zakryłem oczy, bo nie mogłem znieść widoku twarzy, z której oczy napół przymknięte, zdawały się na mnie z groźbą i z przekleństwem poglądać. Co się dalej stało, nie wiem, ale gdy mnie dotrzeźwiono, zobaczyłem wszystkie moje budynki

w ogniu, a żonę z przelęknienia nieżywą. Trzeciego dnia zupełnie zniszczony na mej chudobie, bo wszystko ogień strawił, za dwoma razem trupami poszedłem na cmentarz w naszej parafii, a gdy je przysypałem ziemią, zdało mi się, że z grobu jeszcze ojciec pogląda na mnie temi samemi oczami do połowy przymkniętemi, i złorzecząc, przeklina mnie na wiek wieki. Od tego czasu oczy te na chwilę mnie nie opuszczały, gdziem się obrócił, wszędzie je widziałem, i wszędzie zdało mi się, że patrzą na mnie, że oskarżają przed ludźmi i że promieniami swemi palą mi serce. Gorzałka już tu nic nie pomogła, a nawet im więcej piłem i hultaiłem się, tem bardziej dziwne rzeczy przystępowały do mnie, bo majaczyłem, ręką odsuwałem, jakby te oczy zaraz się przy mnie znajdowały, czasem kląłem, to znów płakałem, tak, że ludzie zaczęli mówić, iż mnie coś złego opętało. I tak mnie to wszystko męczyło, tak mordowało, że gdy coś w pół roku oboje dzieci Pan Bóg mi zabrał do chwały swojej, ja, jakby goniony przez kogo, jakby mi ktoś szeptał do ucha: *idź i uciekaj*, jednej nocy opuściłem naszą wioskę i ruszyłem w świat, gdzie mnie oczy poniosą. Ale i tu widzenie, co miałem w duszy, nie odstąpiło mnie; oczy ojca zawsze widziałem, ale już łagodniej poglądające na mnie. Jednak z dniem to było pół biedy, najbardziej noc dokuczała; bo wtedy zdało mi się, że już nie sam ojciec patrzy na mnie, ale że wszyscy umarli powychodzili z grobów i każdy obchodzi mnie zdaleka, przypatruje się, i szepcze zcicha:

—Zabójco ojca! żyj, męcz się, i przechodź z miejsca na miejsce, jak twój ojciec to robił, gdy chodził po żebraninie.

To wtedy ze strachu oczy prawie mi na wierzch wychodziły, cały drżałem jak liść, dzwoniłem zębami, bo zdało mi się, że mnie wszystkie te oczy przebijają jak mieczami Matki Bolesnej, i przykutego trzymają w miejscu, żeby potem porwać żywcem i wydać na wieczne piekielne męki. Och! Boże, co ja wycierpiałem!... Wychudłem, wyżółkłem, chciałem umrzeć, i nie mogłem, chciałem życie sobie odebrać, i nie miałem odwagi.

Zwróciłem się więc do ostatniéj ucieczki sumienia i duszy człowieka, do modlitwy i spowiedzi. Drżący przystępowałem do konfessyonału, nareszcie wyznałem mój grzech śmiertelny. Spowiednik odmówił mi rozgrzeszenie, naznaczył mi za tak straszną zbrodnię pokutę: odwiedzać miejsca święte i błagać Boga o przebaczenie; a więc puściłem się w świat, aby ją wypełnić.

I tak przechodziłem od kąta do kąta, błąkałem się po wsiach i miastach, ale oczy ojca wszędzie mnie ścigały, i nigdzie na stałe osiedlić się nie mogłem; bo jak tylko ułożyłem sobie w głowie, żeby gdzie dłużej zostać, zaraz szeptanie słyszałem w uszach:

— Idź dalej, idź!... dla zabójcy ojca niema na świecie spoczynku.

I tak chodziłem ciągle, pędzony tajemnym głosem, a dręczony oczami ojca, przeszło lat trzydzieści. Skóra tylko i kości zostały na mnie, chwiałem się jak gałązka na drzewie, a jednak duch nie mógł wyjść z ciała. Wreszcie Bóg ulitował się nademną; bo kiedy przybyłem nazad do kraju, wstąpiłem do Częstochowskiego klasztoru, słynnego cudownym obrazem Matki Boskiej, upadłem przed Jej świętym wizerunkiem, a zalawszy się łzami, błagałem Boga o przebaczenie. I wysłuchała mię ta Matka najlepsza, uprosiłem u niéj łaskę widoczną, lżej mi się w sercu zrobiło, uczułem, że mi grzechy przebaczonemi będą; przystąpiłem więc poraz ostatni do spowiedzi, która mię oczyściła, a kapłan za karę i dla nauki drugich, kazał mi opowiadać historyę mego życia, gdzie tylko zobaczę, że ludzie zapominają o duszy.

Na tem dziadek opowiadanie swe zakończył, a ja je spisałem, żeby ludzie wiedzieli, jak Bóg karze nieuszanowanie rodziców, i do jakiego nieszczęścia gorzałka nieraz ludzi doprowadza.

O rytowaniu na metalach środkami chemicznemi, wygryzającemi.

Wiadomo jest artystom, iż oprócz zwykłego sposobu rytowania mechanicznego, czyli ręcznego na metalach, w częstem użyciu jest również inny, polegający na władzy roztwarzającej mocnych kwasów, jakim jest szczególniej serwaser czyli kwas saletrowy.

W sposobie tym powierzchnia metalu pokrywa się cienką powłoką żywiczną, czyli

werniksową; na takowej zaschniętéj odrabia się rysunek ostrzem stalowem, przecinający wskroś powłokę i dochodzący do metalicznej powierzchni. Następnie nalewa się na przedmiot płyn wygryzający, a po dostatecznem jego zadziałaniu, zlewa się tenże jako niepotrzebny, powierzchnia zaś płucze czystą wodą, wyciera do suchości, zmywa olejkiem terpentynowym i jeszcze raz ostatecznie wyciera. Daje się wtedy spostrzegać na tle połyskującem matowy rysunek, tem więcej w swoich zarysach zagłębiony, im ostrzejszy był środek chemiczny wygryzający.

Sądzimy, iż dla artystów początkujących w tej trudnej a użytecznej gałęzi sztuk pięknych, korzystnym się stanie niniejszy artykuł, mieszczący w sobie wszelkie najlepsze sposoby chemicznego rytowania.

Zwykła massa woskowo-żywiczna do powlekania powierzchni metalicznej robi się z 2ch części co do wagi białego wosku, 2ch mastyxu i jednej asfaltu, albo z 3ch białego wosku, 2ch kolafonii i 4ch asfaltu—albo nakoniec z 4ch wosku, 4ch asfaltu, jednej paku, i jednej burgundzkiej smoły. Robiąc powyższe mieszaniny przez topienie na ogniu, asfalt dodaje się wtedy dopiero, gdy wyżej wzmiankowane materyały zupełnie płynnemi się staną.

Po wymieszaniu należytem massy, wylewa się ona do zimnej wody, tam gniecie dobrze rękami i formuje w wałeczki lub kulki, wielkości zdatnej do następnego użytku.

Kulki takowe obwijają się potem w cienkie płótno, następnie w taftę wietką; powstają ztąd pęczki, któremi wodzi się i pociera po powierzchni ogrzanego metalu, przez co stopiona massa czarna przesiąka przez delikatne otworki dwóch tkanek, rozprowadza się cienko po powierzchni, na której po ostygnięciu tężeje.

W przypadku, jeśli rysunek posiadać ma grube obwody i cieniowania, czysty wosk biały bez żadnego przydatku, dostatecznym jest środkiem powlekającym.

Przed użyciem płynu wygryzającego należy z kolei powierzchnię mieszczącą wykończony rysunek otoczyć obwódką z wosku, do którego przydano nieco terpentyny, w zamiarze zrobienia go miększym; obwódka ta powinna być na cal jeden wysoka. Przestrzeń, którą ona obejmuje, nalewa się płynami wygryzającemi, które zmienne w miarę potrzeby, określają się jak następuje, a mianowicie: dla miedzi, mosiądzu i srebra używa się kwas saletrowy zwykły handlowy, mocno wodą rozwiedziony, dla żelaza i stali mieszanina 28 łutów wody, jednego łuta sublimatu merkuryuszowego, 16 granów kwasu winnego, 16 do 20 kropel kwasu saletrowego; dla złota nakoniec *woda królewska*, wodą rozprowadzona.

Przy wygryzaniu delikatnych rysunków na miedzi kwas saletrowy rozcieńczony wodą, nie jest środkiem należycie dokładnym; następna mieszanina nierównie lepiej odpowiada celowi. Robi się ona, roztwarzając w serwaserze miedź aż do nasycenia kwasu, czyli powstania zupełnie obojętnej soli, która w tym razie będzie saletranem miedzi, rozpuszczonym w wodzie; z drugiej strony należy przygotować nasycony rozpływ salmiaku w occie. Następnie 3 części co do objętości płynu soli miedzianej powyższej mieszają się z jedną objętością rozpływu salmiaku w occie; ztąd powstaje ciecz zielonkowata, która po ustaniu odlana, wlewa się na rysunek, przydając do niej wtedy ostrożnie kropelkami serwaser, dopóki nie pocznie należycie wygryzać metalu. W czasie tego działania powstają przy zarysach wygryzanych drobne banieczki gazowe niedokwasu 2 azotu; należy je starannie pędzelkiem, lub chorągiewką od pióra oddalać i zmiatać, albowiem one wpływają na powiększenie niepotrzebne szerokości rysów i nierównych ich wygryzień, przez co rysunek wychodzi z wadami. Praktycy twierdzą, iż mieszanina następująca, również zastosowana do delikatnych rysunków, wolna jest od tej ostatniej niedogodności. Powstaje ona z 10 części co do wagi kwasu solnego dymiącego, którego gatunkowy ciężar wynosi 1, 19 i z 70 części co do wagi wody; do cieczy tej dolewa się wrzący rozpływ z 2ch części chloranu potażu (chloras kalicus) i 20 części wody. Do powyższej mieszaniny dla nader delikatnych rysunków, można dodać jeszcze przeszło 100 do 200 części wody.

Do wygryzania na stali używają się oprócz powyżej opisanych, następujące jeszcze mieszaniny. Pierwsza składa się ze 120 części co do wagi spirytusu 80 procentowego i 8

części kwasu saletrowego, którego gatunkowy ciężar jest 1, 22—do tego dodaje się 1 część saletranu srebra krystalizowanego rozpuszczonego w maleńkiej ilości wody. Druga mieszanina powstaje z 2ch części jodu, 5 jodku potassium i 40 wody; a gdy rysunek bardzo delikatny, dodać należy drugie tyle wody.

W przypadku, jeśli niektóre miejsca rysunku mają być głębiej wygryzione niż inne, potrzeba zlać płyn działający, wysuszyć tło całe, powlec miejsca jego mające być ochronione, rozpłynem massy woskowo-żywicznej, na początku artykułu opisanej, dokonanym wolejku terpentynowym, a po dokładnem wyschnięciu powłoki, polać przedmiot powtórnie cieczą wygryzającą.

Niekiedy zamiarem jest przemysłowym wyprowadzenie na stalowych wyrobach deseni połyskujących, otoczonych tłem matowem, jako to spostrzegamy często na brzytwach, nożyczkach i tak zwanych niewłaściwie damasceńskich pałaszach. Należy wtedy przedewszystkiem wypolerować pięknie powierzchnię metalu, a potem wytrzeć ją mieszaniną wapna z wódką, ażeby odciągnąć z niej całkowicie tłustość. Poczem miejsca mające zatrzymać połysk, pokrywają się piórkiem lub pęzelkiem, maczanemi w rozpłynie massy woskowo-żywicowatej w olejku terpentynowym, suszą i poddają pod działanie par kwasu solnego, wywiązujących się z mieszaniny soli kuchennej i witryoleju—utrzymują się one pod wpływem tychże par dopóty, dopóki dostateczny mat tła nie zostanie wyprowadzony.

Kilka szczegółów z życia Delfina (1)

Ojca Ludwika XVI Króla Francyi,

i o śmierci jego matki Maryi Leszczyńskiéj.

—

W nrze 51 Czytelni z r. z. podaliśmy wam kilka rysów życia pobożnego Maryi Leszczyńskiej, żony Ludwika XV, a córki Stanisława Leszczyńskiego króla Polskiego, następnie zaś księcia Lotaryngii. Dziś w dalszym ciągu dajemy wam kilka szczegółów z życia pierworodnego jej syna, na dowód, jakie to pobożnego i cnotliwego wychowania zbierała owoce. —

To, co najwięcej cnotliwa królowa miała na sercu, było zaszczepienie w sercu syna pobożności i cnót, któremi czysta jej dusza była przejętą. Praca jej nie była daremną; jakkolwiek bowiem w młodości swej okazywał Delfin charakter wyniosły i gwałtowny, dowiódł wszakże dalszem swem życiem, że wychowanie chrześciańskie nietylko zwalczyć potrafi przyrodzone wady charakteru, lecz nawet same te wady skierowane ku dobremu, przeistacza na pożyteczne przymioty. To też młody Delfin wychowany pod czujnem okiem matki, uznany był za najcnotliwszego księcia swojego czasu.

W miarę jak wychodził z dzieciństwa, zaczął sam dostrzegać swoje błędy i pracował szczerze nad ich wykorzenieniem. Hrabia Szatillon (Châtillon) jego guwerner, wyrzucał mu jego popędliwość. „Uprzedzam cię hrabio, odrzekł książę, że zgóry potępiam wszystkie niedorzeczności, jakichbym się mógł przez nią dopuścić w przyszłości. Niech ci się zdaje wtedy, że to wicher, co wieje. Wkrótce potem kiedy się Delfin uniósł nad miarę, hrabia czyniąc przyrównanie do słów jego, zawołał: ah! cóż to za wicher. Prawda, odrzekł porywczo książę, niezadługo i piorun uderzy. Guwerner udając przestrach, zatkał sobie uszy. Wtedy Delfin zaczął się śmiać, rzucił się w jego objęcia i rzekł z otwartością: a obiecałem ci był jednak nie unosić się więcej; przebacz mi, a ja przyrzekam ci, że się poprawię i dotrzymał słowa.

—

Książe de la Wogiejon (Vauguyon) z powodu uczty wyprawionej w Wersalu na imieniny księcia, rzekł, iż nie pojmuje, jak dawny Oswerus mógł podołać trudom uczt, jakie wyprawiał przez 180 dni dygnitarzom swego królestwa. Ja zaś, przerwał Delfin, nie pojmuję, jak podołał ogromnym na nie wydatkom, i sądzę, iż ta sześcio miesieczna uczta na jego dworze spowodować musiała powszechny post w jego kraju. Ażeby panujący, mówił innym razem, mógł kosztować czystej rozkoszy na uczcie, potrzebaby, aby mógł zaprosić na nią cały swój naród, a przynajmniej, iżby mógł powiedzieć sobie zasiadając do stołu: *Żaden*

(1) *Delfinem* we Francyi nazywał się najstarszy syn królewski, następca tronu.

z moich poddanych nie pójdzie dziś głodny na spoczynek.

Kiedy kassa jego była w zupełności wyczerpaną na cele dobroczynne, a pozostało mu jeszcze wielu nieszczęśliwych do wsparcia, uciekł się do pożyczki, a radząc się tylko swojego serca, zadłużył się tak znacznie, iż, ażeby być w możności spłacić dług, musiał się wielu przyjemności przez długi czas wyrzec.

Zdziwiony wielkością dobrego, jakie świadczył, jeden z panów jego dworu odezwał się, że każdy krok jego znaczony był dobroczynnością i że możnaby powiedzieć o nim to, co o Zbawicielu: Siał wszędzie dobro, kędy przeszedł.—Ah, odrzekł książę, czemuż nie jestem w stanie uczynić, ażeby dodawano: I leczył wszystkich chorych.

—

Kiedy mu przedstawiono, że dochody jego zbyt były ograniczone i że w jego wieku Delfin syn Ludwika XIV miał 50 tysięcy franków (80 tysięcy złotych) miesięcznie dawane do swej szkatuły; nie byłoby mi trudno, odrzekł, otrzymać od króla podobną summę; ale że biorę dlatego jedynie, ażeby rozdać, nie lepiejże więc, aby ubogi rolnik z niej korzystał, mniejsze ponosząc ciężary?

—

Raz, kiedy polował wraz z królem w okolicach Kąpień (Compiegne), stangret jego dla skrócenia drogi chciał przejechać przez pole, na którem żniwo nie było jeszcze ukończonem; co książe spostrzegłszy, kazał mu zawrócić na drogę; na uwagę zaś stangreta, że tym sposobem nie stanie na czas na umówionem miejscu, odrzekł: To mniejsza, wolałbym uchybić dziesięciu podobnym umowom, aniżeli zrządzić choćby na 3 grosze szkody, w polu biednego wieśniaka.

—

Jedna z siostr jego, mówiąc o niezmiernej dobroczynności króla Stanisława (Leszczyńskiego) jego dziada, zauważyła, iż aby jej podołać, musiał chyba w ruinach starego zamczyska skarb znaleść. Król, co ma litościwe serce, odrzekł Delfin, znajdzie w niem zawsze gotowy skarb na wsparcie nieszczęśliwych.

—

Posuwał on aż do drobiazgowości troskliwość, ażeby do rąk jego dzieci nie dostała się jaka książka, mogąca w czemkolwiek skazić niewinność ich serca i obyczajów. Pomnę, mówił, iż raz podszedłszy czujność mego guwernera, przeczytałem był kilka książek, które mi mój pokojowiec dostarczył. Nie dostrzegałem wtedy, jak dziś, trucizny, jaką w sobie kryły; byłbym wszakże w rozpaczy, gdyby podobne książki wpadły w ręce moich dzieci. Życzyćby należało, ażeby wszyscy ojcowie i matki naśladowali ten piękny przykład. Ocaliliby nieraz tym sposobem dobre obyczaje swych dzieci; uchroniliby młode ich serca od zarazy występków, i daliby tem najlepszy dowód swej rodzicielskiej dla nich czułości i opieki.

—

W dniu, w którym odbytą została ceremonia chrztu jego dzieci, kazał przynieść sobie księgę parafijalną, w którą imiona ich były wpisane. Otworzywszy ją, pokazał dzieciom, iż ten, który ich poprzedzał, był synem ubogiego wyrobnika i wtedy to rzekł te piękne słowa: Widzicie moje dzieci, iż w obliczu Boga wszyscy ludzie są sobie równi, i że jedyną różnicę pomiędzy nimi stanowi ich wiara i cnota. Będziecie kiedyś więcej uważani na świecie od niego, że z krwi królewskiej pochodzicie, lecz on nawzajem będzie więcej ważyć u Boga, jeżeli się okaże cnotliwszym.

—

Na jakiś czas przed śmiercią ukazując swoje wychudzone ręce, moje dzieci, rzekł do księcia Berri i hrabiego Prowancyi, patrzcie, czem się staje największy książę. Bóg tylko jeden jest nieśmiertelnym, ci zaś, których nazywają panami świata, podlegają tak dobrze, jak wszyscy ludzie, cierpieniom i śmierci.

—

Przez ciąg długiej swojej choroby, która go wreszcie wydarła Francyi, Delfin okazał tyle męztwa i wytrwałości w cierpieniach i tyle cnoty, iż otaczający go dworzanie nie mogli wstrzymać się od uwielbienia i podziwiania tak jednego, jak drugiej. Marszałek Riszelie (Richelieu) wyrzekł był głośno: jedna tylko religia zdolną jest natchnąć podobnem męztwem.

Kiedy przyboczny jego lekarz, posłuszny otrzymanemu rozkazowi, zawiadomił go o niebezpiecznym jego stanie, nie okazując trwogi lub niespokojności, rzekł doń z dobrocią:

Kochany Brejl (Breuille), widzę, żeś zacny człowiek; kochałem cię zawsze i widzę, żeś godzien mego szacunku. Dlatego proszę cię, ażebyś z równą szczerością uprzedził mię, gdy uznasz niebezpieczeństwo naglejsze. Uprzedzony o niem, kazał przywołać swego spowiednika i rzekł doń: dzięki Bogu, nie czuję żadnego przywiązania do życia. Pragnąłbym bardzo mieć lepszą duszę, ale i tę, jaką mam, polecam z ufnością nieskończonemu miłosierdziu Bożemu.

—

Krótko przed śmiercią, doznał wśród nocy zaduszenia tak gwałtownego, iż zdawało się, że odda w niem ostatnie tchnienie. Taki ztąd przestrach wszystkich obecnych ogarnął, że zapomniano, co ludzkość w takim nawet razie nakazuje; nikt nie zdobył się na słowo pociechy. Wtedy żona jego, kobieta pełna uczuć religijnych i przywiązania do męża, tłumiąc łzy swoje i łkania, i czerpiąc w samym nadmiarze swej boleści, siły i odwagę, jakich nie dostawało innym, wstaje, bierze stojący przy łóżku krucyfix, przykłada mu go do ust i trzyma przed oczami z tą czułą gorliwością, która krzepi odwagę, przedstawiając, iż Zbawiciel więcej cierpiał dla naszego zbawienia; aż paroxyzm ustał i spokojność wróciła. Poczem dopiero pozbawiona sił, oddaliła się od łoża chorego, dla przyjścia nieco do siebie; i kiedy otucha wstępowała w serca innych, wtedy ona gorzkiemi zalała się łzami. Delfin oceniając całą wartość tej czułości tak szlachetnej i tak chrześciańskiej, nie przestawał mówić o niej z uwielbieniem. Jakaż to nieoceniona kobieta, dodawał wtedy, nietylko, że była pociechą i szczęściem całego mojego życia, pomaga mi jeszcze do chwalebnej śmierci.

—

Smierć Delfina dotknęła całą Francyę jak klęska publiczna. Kiedy serce jego składano u Śgo Dyonizego (w St. Denis), a zwłoki w Sens, z odległych nawet okolic zbiegała się ludność, oblegając drogi, któremi przechodził orszak żałobny. Zdawało się, widząc ten bolejący lud, że to pogrzeb wspólnego ich ojca. Jedni zachowywali milczenie boleści i uwielbienia, inni rozpowiadali sobie nawzajem o cnotach zmarłego książęcia, powtarzając ze łzami w oczach, co tylekroć słyszeli: On byłby zmniejszył nasze podatki i uczynił nas szczęśliwymi. Tak jest, dodawali jeszcze; Bóg nas ukarał, zabierając go do siebie, bo nie zasłużyliśmy sobie na tak dobrego króla.

—

Królowa Marya (Leszczyńska) od chwili zgonu ukochanego syna, lubiła rozmawiać najwięcej o śmierci i przenosić się myślą do lepszego świata. Trupia głowa, jako jej przypomnienie, leżała zawsze obok jej klęcznika. W kościele Sgo Dyonizego modliła się zwykle na tem miejscu, gdzie spoczywać miały jej zwłoki. Przyczyną jej ostatniej choroby, był nieukojony żal po śmierci Delfina; znosiła ona swe cierpienia z religijnem poddaniem. Posłuszna radom doktorów, przyjmowała ich leki, mówiła im wszakże nieraz: Próżno sobie głowy łamiecie nad wynajdywaniem dla mnie lekarstw; powróćcie mi syna, a uzdrowicie mię. Na siedm miesięcy przed śmiercią, odstąpiła wszystkich swoich dochodów ubogim. W wilią zgonu przysposabiała im jeszcze odzież własnemi rękami; umarła na wycieńczenie sił, mając lat 65. W testamencie nie zapomniała o żadnej z osób, które jej jakąbądź przychylność okazały. Na liczne legata przeznaczyła resztę własnego dziedzicznego majątku, nie pozwalając nic brać ze skarbu francuskiego. Córkom zleciła dokończenie zakładu edukacyjnego w Wersalu i uzupełnienie funduszu dla missyonarzy w Polsce — umarła, jednem słowem jak święta. O niej też powiedziano: że całe jej życie było jedną, ciągłą modlitwą.

Przysłowia.

1. Gdzie się wciśnie zwada,
   Ginie wszelka rada.
2. Gdy się raz pierwszy co nie powodzi,
   Drugi się zaraz poprawić godzi.
3. Rzadko rzecz uczciwa
   Bez pożytku bywa.
4. Co radzisz drugiemu,
   Życz sobie samemu.

W drukarni J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 11 (23) sierpnia 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.